

O Rozterkach językowych poety na wygnaniu Natalii Gorbaniewskiej – komentarz tłumaczki

Natalia Gorbaniewska nie była teoretykiem poezji czy – tym bardziej – teoretykiem przekładu poetyckiego. Na poły żartobliwie wzbraniała się nawet przed określaniem jej mianem filologa, mówiąc:

„Jestem oczywiście lipnym filologiem, mogę to stwierdzić z całą stanowczością, ponieważ w swoim życiu widziałam wielu prawdziwych filologów. (...) Skoro wielokrotnie widziałam Łotmana i nawet się z nim przyjaźniłam, skoro dwa razy w życiu widziałam Toporowa, to czy mogę o sobie powiedzieć, że jestem filologiem?”¹.

A jednak... Jej wieloletnia twórczość poetycka, tworzone przez kilkanaście lat tłumaczenia utworów poetów polskich, a zwłaszcza Miłosza², liczne recenzje polskich przekładów poezji rosyjskiej et cetera wyraźnie predestynują ją do zabierania głosu w kwestiach dotyczących teorii tłumaczenia. Na swój własny – poetycki – sposób opowiedziała Gorbaniewska o pracy nad tłumaczeniami w jednym ze swoich wierszy:

Czesławowi Miłoszowi

„I wtedy pokochałam te wiersze obce,
których dźwięk różnym uszom zgrzytał i trzeszczał,
i z tego wzięły się moje liczne nieszczęścia
i szczęścia. Więc odtąd jestem zawodowcem,

przysięgłym tłumaczem, który nocami
zapomnianym słowem rosyjskim ów szczebiot
próbuję, szeleszcząc Dala stronicami
i mamrocząc jak nad księgą wróżebną.

Ale dzięki za to (komu ja dziękuję –
samej sobie, przypadkowi, Tobie, dobry Boże?),
iż gdy w mrok zaokienny paryski wszeptuję
nowy przekład – jak nowicjusz się trwożę.

¹ „...brak miejsca na nudę”. Wywiad Linor Goralik z Natalią Gorbaniewską, w: Natalia Gorbaniewska, *Moja Polska. Antologia*, wstęp i wybór Ewangelina Skalińska, tłum. Ewangelina Skalińska et al., (Warszawa: Wydawnictwo Naukowe UKSW 2021; w druku).

² Zob. Natalia Gorbaniewska, *Moj Miłosz* (Moskwa: Nowoje Izdatielstwo, 2012).

Sobie, Bogu, powołaniu, wyzwaniu?
Językowi, co zawierzył miłosnemu wyzwaniu”³.

Tymczasem własna twórczość poetycka, publicystyka, tłumaczenia (głównie z języka polskiego, choć nie tylko) zajmowały Gorbaniewską w tym samym stopniu zarówno przed jej wyjazdem na emigrację, z ZSRS do Francji, jak i po niej. Wydawać by się mogło, że w warunkach emigracyjnych praca na każdym z tych pól będzie nie dość, że bezpieczna, to jeszcze – łatwiejsza. Brak lęku przed rewizjami, zatrzymaniem, przymusowym pobytem w więzieniu psychiatrycznym – to wszystko powinno było przyczynić się do skokowego zwiększenia dorobku Gorbaniewskiej. Tak też się stało na polu prozatorskim, jak widać to na podstawie publikowanych przez nią artykułów w periodykach emigracji rosyjskiej. Natomiast zupełnie inaczej – przynajmniej na początku – rzecz miała się z jej własną twórczością poetycką. Szok spowodowany zmianą otoczenia i dominującego języka początkowo zadziałał na przyszłą autorkę kilkunastu tomów poetyckich paraliżująco. Szczęśliwie nie tylko powołanie publicystyczne, lecz także poetyckie przetrwało tę próbę. Ważnym i rzadkim wśród artykułów Natalii Gorbaniewskiej świadectwem tych trudności jest pochodzący z 1983 roku tekst *Rozterki językowe poety na wygnaniu*. Jest on niemalże intymnym (czyli wyjątkowo osobistym jak na autorkę *Dwunastej w południe*) świadectwem tego, w jaki sposób poeta, przeniesiony do innej, nowej dlań, rzeczywistości kulturowo-językowej mierzy się z własnym słuchem poetyckim, zakłócanym początkowo przez zgiełk innego (obcego) języka; jak ostatecznie dochodzi do wyjątkowego procesu połączenia dwóch językowych obrazów świata (choć Gorbaniewska, oczywiście, nie używa takiego określenia); i jak ożywczo może to wpłynąć na język prawdziwego poety.

³ Natalia Gorbaniewska, [I wtedy pokochałam...], tłum. Wiktor Woroszyński, w: *I togda ja wlubitas' w czuizyje stichi. Izbrannye pierierowdy iz polskoj poezji/ I wtedy pokochałam te wiersze obce... Wybór przekładów z poezji polskiej*, Biblioteka Miesięcznika „Nowaja Polska” (Warszawa–Kraków: Biblioteka Narodowa w Warszawie, 2006), 5.

Rozterki językowe poety na wygnaniu

W pewnej części liturgii prawosławnej Wielkiego Tygodnia słyszymy zawołanie: „Daj mi słowo, o Słowo” – w ten sposób Bogurodzica zwraca się do Chrystusa⁴. Wciąż powtarzamy te słowa, wyprowadzając je poza ich kontekst liturgiczny. Wołamy w skrytości ducha: „O Słowo, daj mi słowo”.

Josif Brodski niedawno słusznie zauważył, że to nie język – jak przyjęło się sądzić – jest narzędziem poety, ale – poeta jest narzędziem języka⁵. Pytanie polega jedynie na tym, czy język zechce się nami posłużyć, czy my jako narzędzie nie jesteśmy zardzewiali, przytępieni, zwłaszcza jeśli ciągle ulegamy wpływowi nowych, niecodziennych warunków. Powiem od razu, że według mnie właśnie te nowe okoliczności, do których nie jesteśmy przyzwyczajeni, mogą nie tylko naostrzyć instrument i nadać mu nowego blasku, ale też przysposobić go do czegoś, co wcześniej zdawało się poza jego zasięgiem. Mówię o okolicznościach, z którymi styka się na każdym kroku poeta przebywający na wygnaniu.

Opuszczając Związek Sowiecki, nie tracimy niczego, natomiast zyskujemy wolność. Wolność upragnioną, ale w żaden sposób niezwiązaną z tym, co stanowi sedno naszej poezji. Ta wolność daje nam przede wszystkim możliwość swobodnego druku i brak zagrożenia aresztowaniem.

Opuszczając Rosję, tracimy wiele.

Tracimy kontakt z naturalnym kręgiem odbiorców, ale – koniec końców – odnajdujemy tutaj nowy rodzaj kontaktów, sprowadzających się (a może raczej sięgających wyżej) czyste, nieuwikłanej w dodatkowe okoliczności relacji: wiersze – czytelnik.

Tracimy z oczu rodzimy pejzaż, który w ten czy inny sposób należał do podstawowych składników naszych wierszy. Ale, podobnie jak całe pokolenia wcześniejszych wygnańców, unosimy na podeszwach butów czy to kurzawę z drogi, czy to przyklepiony, roztopiony asfalt miejskich ulic. Jeśli poza wzrokiem zewnętrznym zostaliśmy jednak obdarzeni także wzrokiem wewnętrznym, wówczas to, czego nie widzimy tutaj, możemy wyraźniej zobaczyć z oddali. A to, co widzimy tutaj, może zamienić się w element właśnie rosyjskiego języka poetyckiego.

⁴ Przywołany przez Gorbaniewską fragment modlitwy pochodzi z Kanonu Symeona Logotety o ukrzyżowaniu Pana i placzu świętej Bogurodzicy. W tłumaczeniu ks. Henryka Paprockiego wers ten brzmi: „Czyż nie powiesz żadnego słowa do Twej służebnicy, Słowo Boże?” (<http://www.liturgia.cerkiew.pl/pages/File/docs/meka-06-piatek.pdf>, dostęp: 23.10.2020).

⁵ Zob. Iosif Brodski, *Jewropiejskij wozduch nad Rossiej. Interwju Anni Epelbaum*, w: Iosif Brodski, *Bolszaja kniga interwju*, oprac. pełne Walentin Połuchin, wydanie poprawione (Moskwa: Zacharow, 2010), 130–153.

Tracimy środowisko językowe, a dokładniej – kontakt z żywiołem języka, który jest o wiele potężniejszy niż tylko rozmowy prowadzone w dość wąskim kręgu emigracyjnym. Żywioł, który otaczał nas na ulicach, w niekończących się kolejkach, w przepelnionych tramwajach czy wagonach metra. Tego boimy się najbardziej. Przechodząc przez granicę, w pewnym sensie wkraczamy w próżnię. I na początku właśnie to przerażenie – myślę, że przerażenie, a nie strata jako taka – niewątpliwie rodzi trudności.

Ja sama – a zgodnie z moimi obserwacjami także niektórzy poeci rosyjscy z najnowszej fali emigracji – w trakcie pierwszych miesięcy pobytu na Zachodzie przechodziłam przez okres ciągłego zdumienia. Poeta zachowuje się tak, jakby nie wiedział, co ze sobą począć. Czy zamilknąć na jakiś czas, czy pisać (a tak to było ze mną) siłą rozpędu, poruszając się utartym szlakiem.

Jeśli nie znamy języka państwa, w którym się znaleźliśmy, to wszystko dookoła nas drażni. Czujemy się rozdrażnieni, jadąc metrem (choć wcale nie jest przepelnione), na ulicach, w kawiarniach. Wszyscy dookoła posługują się jakimś nikomu (nikomu, czyli mnie) niepotrzebnym jazgotem. Jeśli znamy język danego kraju, zamiast niezrozumiałego hałasu, w uszy wpadają nam strzępy zdań, rozmów, programów radiowych i telewizyjnych, doniesień i komentarzy, dialogów filmowych. I znowu nie rozumiemy: po co nam to wszystko? Na dodatek, w języku obcym mówią nawet małe dzieci. Ogarniający nas przed wyjazdem lęk przed próżnią wydaje się w pełni uzasadniony.

Zgiełk obcego żywiołu językowego – bez względu na to, czy jest dla nas bezrozumnym jazgotem, czy też strumieniem informacji – początkowo zagłusza to słowo, które najpierw powinniśmy usłyszeć, a dopiero później zanotować. Ten zgiełk może sprowadzić na nas głuchotę albo – przeciwnie – wyostrzyć nasz słuch. W tym drugim przypadku nagle zaczynamy słyszeć takie obroty mowy, takie subtelności i gry słów, jakich nie byliśmy w stanie wysłyszeć wcześniej. Szczercze mówiąc, uważam, że na głuchotę zapada jedynie to ucho, któremu już wcześniej nie zależało na dokładnym wsłuchiwaniu się w język.

Wielokrotnie obserwowałam, jak po początkowym okresie zmieszania (milczenia albo pisania wierszy z rozpędu) dochodzi nagle do wyśrubowania poziomu języka poetyckiego. Moim zdaniem można to tłumaczyć tym, że zderzenie z obcym żywiołem językowym wywołuje świadomy i aktywny stosunek wobec naszych własnych poszukiwań językowych. Pisząc „świadomy”, nie mam na myśli nagiej racjonalności i zimnej kalkulacji. Po prostu wcześniej zastawialiśmy sidła na wiersze, jakby były zającami, które zawędrowały do naszego ogrodu. Natomiast teraz wyruszamy na polowanie w nieznaną i zdobywamy zarówno znaną, jak też niespodziewaną zwierzynę: i te same zające, i jakieś tam sarny, i dziki, i jednorozce. Język obcy na początku nas szokuje. Ledwie zdążyłam tu przyjechać i nauczyć się kilku zdań po francusku, napisałam: „No więc i język pojechał, poszedł...”. Faktycznie, język francuski, podobnie jak angielski czy włoski, nie rozróżnia słów: „iść” i „jechać”. To się nie mieści w głowie Słowianina. Bez względu na to, czy znamy obcy język dobrze, czy prawie w ogóle, na początku – wkraczając do tego nowego żywiołu – usiłujemy ciągle tłumaczyć wszystko w obie strony. Usiłujemy połączyć oba języki, nałożyć jeden na drugi i – zapewne – w takiej sytuacji traktujemy język ojczysty jako obcy.

Patrzemy nań jak na język słownikowy, jak na środek ekspresji i odzwierciedlenia rzeczywistości, jak na język-narzędzie. A jeśli traktujemy język jak narzędzie, przeszkadzamy mu w tym, żeby to on w pełni mógł posłużyć się nami jako swoim narzędziem.

Mam kłopot z określeniem, w którym momencie i w jaki sposób nadchodzi ta chwila, kiedy żywioły dwóch języków przestają być orłem i reszką, ciągłym przekładaniem jednego na drugi i dochodzi wreszcie do ich ostrego rozgraniczenia. Wiem tylko, że tak się dzieje w przypadku poetów. Z tego względu znajomość języka obcego dla poety nie niesie za sobą żadnego zagrożenia. Tymczasem dla prozaika, a już tym bardziej emigracyjnego dziennikarza – mimo całej życiowej i zawodowej konieczności – nierzadko okazuje się ona szkodliwa, psuje jego język.

Obserwacja socjologiczna (choć nie jestem w stanie podać dokładnych liczb, ale ręką za jej ogólną prawdziwość) pokazuje, że mniej niż połowa rosyjskich prozaików i ponad połowa poetów mieszkających w Stanach czy Europie, nie posługuje się językiem państwa, w którym mieszka. I nie chodzi tu o lenistwo prozaików albo ich ograniczone zdolności. Prozaik instynktownie, w odruchu samoobrony, odbija się od obcego języka, ponieważ język prozy łatwiej ulega wpływowi obcojęzycznego elementu. Język prozy tkwi raczej w autorze, a nie w jego otoczeniu, i w większym stopniu kształtuje się w zależności od tego, kto i o czym codziennie mówi.

Nie piszę prozy, ale ją tłumaczę. Piszę teksty publicystyczne i całe mnóstwo artykułów z dziedziny krytyki literackiej, przeglądy polityczne. I mimo że ciągle usiłuję się kontrolować, co i rusz przyłapuję się na galicyzmach i polonizmach. Przysięgam, że nie ma ich w moich wierszach. A jeśli od czasu do czasu pojawia się w nich element zakorzeniony w języku obcym, to jest to za każdym razem świadomy, podkreślony przeze mnie chwyt. To właśnie ten język, który wykorzystuje mnie jako narzędzie, postanawia wykorzystać pewną moją właściwość – słownikowy albo składniowy ładunek języka obcego. Mówię tu o sobie, ponieważ wiem na swój temat nieco więcej niż o innych, ale nie sądzę, żeby moje doświadczenie było wyjątkowe.

Być może ci uczestnicy naszego spotkania, którzy przyjechali z Zachodu, liczyli na to, że podejmując temat problemów językowych poety na wygnaniu, opowiem o tym, JAK BARDZO jest nam trudno, a – być może – zasugeruję jeszcze, w jaki sposób można nam pomóc. Mnie natomiast zależało na podkreśleniu tego, że kłopoty językowe poety na wygnaniu wcale nie są tak wielkie, jak zwyczajne, codzienne kłopoty przeciętnego emigranta. Ponadto nikt w takim stopniu jak poeta nie otrzymuje od języka ojczystego takiego wsparcia i możliwości ucieczki. Nawet sam fakt pojawienia się naszych kłopotów językowych, ciągle powstających przeszkód i nieustannie podejmowanych negocjacji z językiem prowadzi do powstania „nowej jakości”. Sądzę, że jak długo pamiętamy, że talent poetycki nie jest nam dany raz na zawsze, ale jest darem, który przychodzi z zewnątrz, będziemy w stanie poradzić sobie z każdym problemem językowym.

„Russkaja Mysl”, nr 3466, 9.07.1983 roku



Jacek Bodzak, *Za nowy wiek!*